

Srebrny Grochów

Ściska się przy lekturze „Monoloku” serce, ale tak ma być. Polonista powiedziała by, że to katharsis – a ja myślę, że taka jest cena odwagi Pawła Sołtysa: niesłychanie rzadkiej dziś odwagi przyznania się, choć nie wprost, do miłości i żalu.

Nie lubię, kiedy ktoś, chwając opowiadania traktujące o przedmieściu, tym podnóżu miejskiego mrowiska, i o krążących tam ludziach, ich namiętnościach i interesach, z marszu odwołuje się do Marka Nowakowskiego albo Hrabala: wydaje mi się to świadectwem żenującego braku odczytania kojarzyć tylko, że jak paserzy i kwiaciarze – to koniecznie Nowakowski, a jak piwo lub rum i błyskająca jak srebro w kałuży uroda prostych rzeczy, słodka liryka śmierci, to zaraz Hrabal. O mieście i przedmieściu zajmująco pisały setki tysięcy, pięknie – tysiące, po Gałczyńskiego i Grochowiaka wypadałoby raz jeszcze sięgnąć, a nie suflować oklepane skojarzenia.

Nie lubię i jestem w kropce, bo tę nowelę, tę krótką książkę Sołtysa będzie się nieuchronnie tak czytało, kiedy znużą się pokrewieństwa, będzie się zabawiało wyszukiwaniem różnic, znaczących i gorzkich, ale i tak gdzieś na półce będą stały obok siebie *Bar Świat*, *Zapis* i właśnie *Monolok*, choć w tym ostatnim opisane są nie Włochy, nie Szczęśliwice, nie Libeń, tylko Grochów, któremu w ostatniej ćwiartce wieku

poszczęściło się w literaturze; Grochów z księstwami udzielnymi Gocławia, Kamionka, nawet Siekierok, ale przede wszystkim jednak Grochów.

Przeczytaj także recenzję książki „Sierpień” Pawła Sołtysa

Świetna to książka, jak odlana z jednego kawałka, napisana w jednym ciągu, przez sto godzin, do wyschnięcia długopisu, choć na pewno tak nie jest: dużo musiało być pracy nad tą, chciał – nie chciał, arcypolską formą gawędy. Bez udziwnień, „jednego zdania” z Andrzejewskiego, bez szkatułkowości (choć gdzieniegdzie trzaskają szuflady, a w nich kasetki czy szkatułki i jedna opowieść okazuje się zamknięta w innej). Jest to raczej ciąg połączonych ze sobą wspomnień, zdarzeń i eulogiów, jakby niekończące się pociągi, trzaskające zderzakami przy manewrach na Olszynie. Janek, a nawet dwóch Janków, Masio, Jubcio, pani Marta od pioruna, Zbyszek Kret, Colombowa i Jarek Magik, i dwie z trzech sióstr – „wszyscy, wszyscy śpią na wzgórzu”, napisałby Edgar Lee Masters, a że to Sołtys, wszyscy oni śpią na Bródnie. To w papierach, bo tak naprawdę „moi zmarli żyją, tylko nie udaje się nam ostatnio spotkać. Chodzimy równoległymi ulicami, Niepodległości i Puławską, Czerniakowską i Sobieskiego, Kickiego i Siennicką. Holoubek ciągle gra w teatrze, tylko ja nie wiem, w którym. Tadek Nalepa jeździ w trasy, ale omija to miasto, a moja żona po prostu sobie kogoś znalazła. Normalne sprawy...”.

Nie słabnie mój podziw nad (pozorną!) prostotą pomysłu na tę książkę. Bo wiadomo, fryzjer to ważna postać społecznego świata, widzi nie tylko kędziory i łupież, ale i nadzieje, ambicje, starzenie się i wstyd. *Teatrum* jak u krawca, intymność jak u lekarza, nadzieja na napiwek jak u kelnera, a do tego konieczność zagadania kwadransa czy dwóch i skrzyżowanie szlaków, blisko ludzi, że może tylko na SORze i w

konfesjonale bliżej, ale stamtąd nic nie usłyszymy. Więc sztos, pomysł na wyciągnięcie ręki – ale pomysł, który mógł być zepsuty, spłycony na tyle sposobów! Ot, choćby pokusa „powieści realistycznej”. Ale Sołtys nie zepsuł, tych kilkadziesiąt opowiadań to są przypowieści mądrościowe, to są żywoty z morałem bez ambicji odtworzenia jakiegoś „grochowskiego uniwersum”: nie, pociągi oświetlone przez chwilę lampą na przejeździe, kiedy manewrują na Olszynie, a w każdym wagonie – ładunek prawdy.

Bardzo lubię Sołtysowe osadzenie w przeszłości i tu znów dostaję jej obfitość. Pisałem, przy okazji *Sierpnia* z 2024, o jego „nieopanowanym głodzie historii i kultury (...) miarkowanym przez niechęć do młyna słów” i mogę tę opinię tylko podtrzymać. Te opowieści nie układają się w afisz mobilizacyjny którejkolwiek z narracji historycznych: ale jest oczywiste, że będzie w nich i rzeź Woli, i RONA, i „straszny czterdziesty czwarty”, ale i Bereza, i rozliczenia młodych PPR-owców ze starymi KPP-owcami. A obok nich – lampy sodowe i żarówki Polampu, model E-27, fabryki Perun i Kora, i nawet fabryka mierników na Łopuszańskiej, i „cegła z kanałów prezydenta Starynkiewicza”, i czysta z Łańcuta – i figury Lichtenberga.

Przeczytaj także: ZBOWiD, populizm, Biały Krzyż

Jeśli idzie o przeszłość – jedna rzecz nowa, a przynajmniej po raz pierwszy przeze mnie dostrzeżona. *Monolok* – nieagitacyjny, nierozliczeniowy i, przy całym nagromadzeniu szczegółów, wolny od soc-nostalgii – ma jednak pewien nerw quasi-polityczny. Ta elegia po dzielnicy, „co to zniknęła już prawie pod nowymi blokami, pod Żabkami, Biedronkami i budami kebabów”, niesielankowa, miejscami krwawa, zwraca uwagę na składową PRL, która została zarysowana ciosem stanu wojennego, ale ostatecznie zniszczona w dekadę później:

rzeczywisty egalitaryzm, który dawał pewną spójność społeczną. Muszę skontrolować: ten egalitaryzm z początku był wymysłem politruków i budowany był na krzywdzie wielu, potem stał się bieda-egalitaryzmem, zrównaniem prawie wszystkich w kolejce po wołowe z kością. Ale tak wyrażna tęsknota za osiedlami, gdzie „niby co piąty w bloku profesor, ale raczej taki, co się dobrze czuje wśród zwykłych ludzi. I w brydza zagra, i setkę wypije”, za światem bez zamkniętych osiedli, z robotnikiem i literatem spotykającymi się na fotelu w razurze – powinna być usłyszana. Ze wszystkimi zastrzeżeniami – rozpoznaję ją i w sobie.

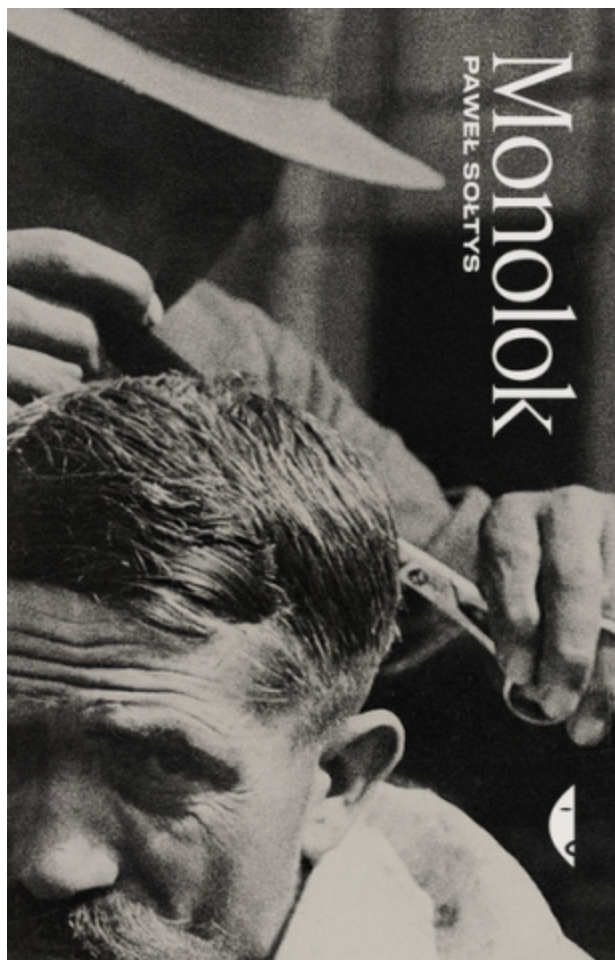
A jeszcze – język! Nie mamy do czynienia w *Monoloku* z prostym zapisem, z odtworzeniem całego argot, pewnie nie dałoby się zresztą go odtworzyć, skoro narrator w biednym dzieciństwie „chujów i kurew tyle się nasłuchał, że miał ochotę na coś innego”. Ale brzmią tam frazy świetne, niepodrabialne, wódka pita „z centrali, na pięć przełyków”, i krawcy „jakby igłą robieni”. Czasem tak dawne, że brzmiące już „warszawianizmem”: ale tak, i „fest” i „farmazon” to są słowa z prawem obywatelstwa, wrócą jeszcze, kiedy zeschną ledowe nowinki „six seven” i „skibidi”. Tyle że ten język, tak – jak powiedziałyby polonista – wernakularny, tak zakorzeniony w grochowskich zdeptanych trawnikach, nagle szybuje w górę, jakby manewrujący pociąg rozpędził się na pasie startowym: owszem, bardzo odczytany fryzjer powiedziałby może, że parabelka „zakaszła niby feldmarszałek Paulus w przeciągach Stalingradu”, bo to wizja trochę jak z *Tygrysów*. Ale napisać, że „latarnie przymknęły sodowe oko”, napisać o pani „siwiutkiej jak jarzeniówka”, pisać o psich sercach na jednej nitce i liściach na lodzie „jak dywan z ruchomego piasku” – to już nie fryzjer, chyba nie. A już na pewno nie w najpyszniejszej literacko scenie, gdy po fatalnej kolizji z kapliczką „pan Andrzejczak w kwiatach sztucznych i różańcach, w stearynie ze świec, z kostką wykrzywioną pod anielskim

kątem wyglądał jak święty Roman, krwawił lekko jak ze stygmatów, za to w nieoczekiwanych miejscach, i powtarzał tylko: Matko Boska, Matko Boska. Nie wiadomo, czy dlatego, że leżąc, widział strzaskaną błękitno-białą figurę, czy go tak bolało. Łańcuch spadł i zwinął się obok niby różaniec właśnie, przednie koło straciło szprychy niczym pustelnicy zęby”.

To są smutne opowieści: trzeci *trademark* Sołtysowy to melancholia. Nie mogą być wesołe eulogia, a przecież te opowieści to eulogia, zawijają się starzy i młodzi, w głupim wypadku, na raka albo z zemsty ludzkiej, umierają garbus i Janiak, tęsknią psy i koty, wiadomo, „serca psie na iednej nitce”, a koty szukają, wylizują pudełka po margarynie, ale w końcu giną i one („Ten duży to się nazywał Uran. Z pudła miał głowę, kręcone futro i smukłe, wysokie nogi. Z innych przodków – wilkowaty pysk, dziwny, za długi ogon i charakter greckiego boga”). Więc ściska się przy tej lekturze serce, ale tak ma być. Polonista powiedziała, że to *katharsis* – a ja myślę, że taka jest cena odwagi Sołtysa: niesłychanie rzadkiej dziś odwagi przyznania się, choć nie wprost, do miłości i żalu. „Jakaś litość dla nas, ludzi, jakaś czułość / I po prostu dobroć, droga Ygrek Zet” – jak napisał autor, który chyba w życiu nie gościł na Grochowie...

Pamiętam z *Sierpnia*, i z wcześniejszych tytułów, dyskretnie, lecz wyraźnie zasygnalizowany dystans autora do zbyt zorganizowanych wspólnotowych form wiar i nadziei, i szanuję go. To jedno chyba jednak wolno mi napisać: w tych epitafiach, w tych pociągach, które błyskają przez chwilę w świetle lampy a potem odjeżdżają gdzieś za Olszynkę, w ciemność – znalazłem szansę na to, że włosy na wszystkich głowach, na które napatrzył się bohater *Monoloku*, są policzone; że zmarli, czekając na nas, chodzą po równoległych ulicach.

Wojciech Stanisławski



Paweł Sołtys, „Monolok”, Wydawnictwo Czarne, 2026

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „**Czytelnia publiczna**” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze**